

– Dzisiaj nie potrzeba filmów, które z założenia dyktują postawy moralne. Moralizatorskich historii ludzie by nie znieśli

– Podobno kiedyś młodej, rozpoczynającej karierę aktorce Krystynie Jandzie prof. Aleksander Bardini narysował na serwetce linie repertuarowe teatrów i wybrał dla niej Teatr Ateneum. Jak Pani sądzi, co dzisiaj prof. Bardini zaproponowałby młodej, zdolnej aktorce?

– Wszystko zależy od tego, z jaką osobą miałaby do czynienia. Wtedy, gdy skończyłam szkołę teatralną, Aleksander Bardini znał mnie bardzo dobrze, znał też doskonale całe środowisko, wszystkich dyrektorów teatrów, i było mu łatwo przewidzieć, gdzie będzie dla mnie i najbardziej sprzyjająca atmosfera – bo to jest bardzo ważne – i najciekawsza linia repertuarowa, i odpowiedni gust dyrektora. Dzisiaj się trochę wszystko skomplikowało. A poza tym ja byłam bardzo wyraźną osobą. Wiadomo było, czego mi trzeba.

– Ale czy w ogóle zaproponowałby dziś takiej aktorce teatr?

– Myślę, że tak. Ja także każdej młodej aktorce powiedziałabym, że powinna pójść do teatru. Życie zawodowe bez teatru, mimo tego, że żyjemy w takich, a nie innych czasach, ubożeje. To znaczy ubożeje aktor – w przemysłeniach, środkach wyrazu. Bez takiego salonu treningowego, takiej sali gimnastycznej, jaką jest teatr, trudno uprawiać długo ten zawód, zdobywać nowe kolory, nowe tereny, nowe środki wyrazu. To, co się ma na początku – pewną naiwność, urodę, typ fizyczny, który się podoba, albo „ostrość” – bez teatru starcza na dwa-trzy lata, na pierwszy błysk.

– Największa, wielomilionowa publiczność poznała Panią przede wszystkim za sprawą ról w „Człowieku z marmuru” i „Człowieku z żelaza” Andrzeja Wajdy. Grała tam Pani Agnieszkę, zbuntowaną dziennikarkę, boleśnie zmagającą się z peerelowską rzeczywistością. Kilka lat temu mówiono o planach dokreślenia kolejnej części, ale ostatecznie Andrzej Wajda zrezygnował. Kim, Pani zdaniem, byłaby Agnieszka w dzisiejszej Polsce: komba-

Nie tęsknię

Z KRYSZYŃĄ JANDĄ o potrzebie reżyserowania, liniach na serwetce i o Agnieszce rozmawiają Ryszard Warta i Mariusz Załuski



Fot. PAP/CAF

tantką, kimś rozczarowanym czy może kobietą sukcesu?

– Nie wiem. Rzeczywistość jest tak zaskakująca, tak nas wszystkich mentalnie zmienia, że naprawdę nie wiem, jak mogłyby się potoczyć losy tamtych bohaterów. Każdy z nas mógłby opowiedzieć sobie swoją własną historię i każda byłaby prawdziwa. W tych filmach byłam osobą po prostu aktywną, starałam się zająć jakieś stanowisko wobec świata, w którym żyję.

– I w tym naśladowały Panią całe pokolenia dziennikarek.

– Podobno. Ale nie wiem, czy dziś Agnieszka byłaby dalej w tym zawodzie. Zresztą odpowiedź na to pytanie tak naprawdę nie nie zmienia. Czasy, w których żyjemy, są trudne i zaskakujące, trzeba być bardzo elastycznym i gotowym na wszystko, by się w nich odnaleźć.

– Mówimy o rolach u Wajdy, ale były też kreacje u Bugajskiego w „Przesłuchaniu”, w „Zwolnionych z życia” Krzystka. Wszystkie te kreacje budowały Pani wizerunek

ku Wiśniewskim. Władysław Pasikowski sięgnął do tej samej piosenki, w jego filmie w symbolicznej scenie śpiewają ją pijani esbecy. Nie tęskni Pani do tamtych czasów, kiedy pewne rzeczy były czystsze, jaśniejsze, pewne świętości były święte?

– Nie tęsknię. Bardzo dobrze, że jest tak, jak jest. Musimy znaleźć się w tych czasach. Dzisiaj nie potrzeba filmów, które z założenia dyktują postawy moralne. Moralizatorskich historii ludzie by nie znieśli. Z drugiej strony buntujemy się przeciwko kinu całkowicie ogłupiającemu, spełniającemu tylko i wyłącznie funkcję pigułki na zapomnienie. Nie dziwię się, że polskie kino wygląda tak, jak wygląda, bo żyjemy w czasach przejściowych i kino także przeżywa taki okres. Kiedyś powiedziałam do Kasi Figury: jesteś symbolem kina lat dziewięćdziesiątych. Taka kobieta jest potrzebna do opowiedzenia wszystkich historii.

– Jest Pani nie tylko aktorką, bywa Pani również reżyserką. Czy sytuacja, kiedy stanęła Pani po drugiej stronie kamery – realizując chociażby „Pestkę” – zmieniła Pani stosunek do aktorstwa, aktorów? A może nie zmieniła w ogóle?

– Rzeczywiście, w ogóle nie zmieniła. Jest taka anegdota, jak powstał zawód reżysera – stało dwóch aktorów na scenie i jeden powiedział do drugiego: zjedź na dół i zobacz, czy ja stoję na środku... Jeśli ktoś tak długo jak ja pracuje, i robi to, co robi, świadomie – bo jestem osobą, która wie, dlaczego zajmuje się czymś tak, a nie inaczej, i wie, dlaczego w ogóle się tym zajmuje – to ma ochotę coś opowiedzieć od siebie. I tak się stało z „Pestką”.

– Co ciągnie aktorów do reżyserowania? Z wielkim sukcesem realizuje filmy chociażby Jerzy Stuhr. Wybitnych aktorów zaczęto wręcz pytać w wywiadach, dlaczego jeszcze nie zajęli się reżyserią, bo przecież ich koledzy już to mają za sobą.

– Myślę, że ciągnie ich to samo, co na przykład dziennikarza do tego, żeby mieć własną gazetę. Nie ma tu nic niezwy-

kłego. Jeśli ktoś uprawia swój zawód w sposób świadomy, chce mieć coś, czemu nada całkowicie swoje piętno i swój styl. Jest wielu aktorów, którzy nie chcą tego robić, na planie siedzą z boku i w ogóle ich nie interesują problemy niezwiązane z ich rolą. Wychodzą tylko do swojego kawaleczka. Ja byłam zawsze przy reżyserze, bo interesowała mnie wszystko – dlaczego stawia tak kamerę, dlaczego ten film ma być właśnie taki, dlaczego ten reżyser w ogóle chce go robić. Tacy aktorzy w jakimś momencie mają potrzebę reżyserowania.

– Pani duża aktywność poaktorska – pisanie książek, reżyserowanie, nagrywanie płyt – nie wynika chyba ze znużenia aktorstwem?

– Wbrew pozorom, wbrew temu, co się wydaje „na zewnątrz”, nie jestem osobą, która do czegoś dąży za wszelką cenę. Po prostu wiele rzeczy tak się... zdarza. Tak długo mnie na przykład radiowa „trójka” namawiała, żebym siadła na krześle i zaśpiewała osiemnaście piosenek, że w końcu po dwóch latach uświadomiłam sobie, że rzeczywiście piosenki, przekłady, Przybory i Młynarskiego przepadną na zawsze. Mogę się więc znowelizować i zrobić to dla nich, nawet jeżeli ja w tym wypadnie gorzej. Siadłam więc na tym krześle, a w naturalnej kolejności powstała płyta, były koncerty, dobre recenzje. Ale przez dwa lata nie dawałam się do tego namówić. Jeśli chodzi o felietony, to zaczęło się w ten sposób, że gdy byłam w ciąży i leżałam w łóżku, pewnego dnia zadzwonił Jacek Janczarski, wtedy szef „Szpilek”, i powiedział: tak wspaniale opowiadasz, więc mogłabyś coś napisać. Wiem, że dziewięć miesięcy będziesz leżała w łóżku, jesteś wolna. Nie było więc tak, że dzwoniłam i opowiadałam o tym, jak wspaniale piszę felietony.

Mój sposób widzenia świata jest dobrze znany w środowisku i dlatego ludziom wpadają do głowy różne pomysły na mój temat. A to wywołuje moją aktywność.

– Dziękujemy za rozmowę.